

HERYTIERA

[PIZGACZ]



EXTINGUISH  
the HEAT

RUNDA PIĄTA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/ext5pr>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1083-6

Copyright © P.S. Herytiera 2023, 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



## ROZDZIAŁ 10.

# UPADEK W NICOŚĆ

Ze zblazowaną miną i przekleństwami cisnącymi się na usta podeszłam do drzwi wejściowych. Wstałam jakieś dwie minuty wcześniej, więc nie mogłam powiedzieć o sobie, bym miała trzeźwy umysł. Cóż, „wstałam” było raczej nieodpowiednim słowem, lepiej pasowałoby: „zostałam brutalnie zerwana z łóżka przez osobę, która chyba miała ochotę zamęczyć dzwonek, wciskając go czterdzieści razy z rzędu”.

Nawet nie zdziwiło mnie to, że po otwarciu drzwi ujrzałam tryskającą zadowoleniem twarz swojego kompana ze szkolnej ławki.

— Chris Adams właśnie zaszczycił ten dom swoją obecnością!

Skrzywiłam się, słysząc okrzyk chłopaka. Z szerokim uśmiechem radośnie wyrzucił ręce w górę. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałam, ale mimo to jego uśmiech nie zmalął ani odrobinę.

W końcu odchyliłam się na piętach i zerknęłam na zegar ścienny obok drzwi w korytarzu. Pomrugałam, aby wyostrzyć sobie obraz, i niemal jęknęłam.

— Chris, jest za piętnaście dziewiąta! — zawołałam załamana. — Co ty tu robisz bladym świtem?

— Aktualnie czekam, aż pewna zaspana żółta wpuści mnie do swojego domu — odpowiedział sarkastycznie, unosząc brew. — I ta żółta mogłaby być miłsza.

Przewróciłam oczami, ale posłusznie wpuściłam go do środka. Nie zdążyłam nawet zamknąć drzwi, a Chris prawie mnie zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku. Jęknęłam cicho, ale ten odgłos został stłumiony

przez jego tors. Momentalnie się rozbudziłam, moje ciało zeszywniało, a w głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

Na szczęście dość szybko jak na siebie wypuścił mnie z objęć, więc automatycznie zrobiłam krok w tył. Chyba nie zauważył mojej reakcji.

— Tak lepiej — odpowiedział usatysfakcjonowany. — Strasznie tu zarosło. Ledwo znalazłem chodnik.

Westchnęłam. Każdy musiał to mówić?

— Tak, wiem.

Odkąd przyjechaliśmy, już kilka razy przeszło mi przez myśl, by doprowadzić do porządku cały ogródek z przodu i z tyłu domu. Mieliśmy z Theo niczego nie ruszać, bo przecież przylecieliśmy tylko na chwilę, ale dzień wcześniej z ciekawości poszłam do garażu, aby sprawdzić, czy kosiarka i narzędzia ogrodowe nadal tam są...

— Gdzie Theo? — zapytał szczerze zaciekawiony Chris.

— Cóż, z tego powodu, że jest środek nocy, zapewne przewraca się na drugi bok — zakpiłam. — Skoro już wymieniliśmy się grzecznościami, to powiesz mi, co tu robisz? O dziewiątej? W niedzielę? W dzień Boży, gdy powinno się spać do południa?

— Przecież nie jesteś wierząca — przypomniał mi, uśmiechając się złośliwie.

Powstrzymałam komentarz, który miałam na końcu języka.

— Chris — ostrzegłam, na co uniósł ręce w obronnym geście. W jego oczach nadal tliła się isierka rozbawienia i zadowolenia.

— Hej! Wczoraj w barze u Luke’a sama powiedziałaś, że cię nie odwiedzam — przypomniał mi. — A ja obiecałem, że dziś się ode mnie nie opędzisz. Oto jestem.

Wróciłam pamięcią do poprzedniego dnia i dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście tak było. Wyleciało mi to z głowy, ale miałam dobre usprawiedliwienie. Sobota była trudna, a koniec naszego spotkania w barze okazał się... zastanawiający.

Szybko pokręciłam głową, starając się odpędzić te myśli. Wystarczająco nagłowiłam się nad tym w nocy.

— Nigdy nie rzucasz słów na wiatr, co? — zapytałam, trącając go lekko łokciem w bok, aby rozładować napięcie.

Zachichotał tym swoim zabawnym charkotem, który brzmiał, jakby cieszyła się hiena z astmą, i który przeważnie bawił mnie bardziej niż jego żarty.

— Przeważnie tak — potwierdził. — Chyba że chodzi o dietę i odstawienie energetyków. Wtedy sytuacja ulega zmianie.

Parsknęłam szczerym śmiechem i zaprosiłam go w głąb domu. Wyglądał inaczej niż podczas naszych poprzednich spotkań, bo nie miał na sobie garnitur, tylko jasne jeansy i czerwoną bluzę. W tym wydaniu znowu przypominał tamtego uroczego chłopca z liceum, którego pamiętałam. Wyglądał świetnie, zresztą Adams, dzięki swojej zabójczej pewności siebie, wyglądał świetnie nawet w worku na ziemniaki, a wiedziałam to stąd, że w piątej klasie był to jego strój na Halloween.

— Chris, wiesz... naprawdę się cieszę, że tu jesteś. Ale musiałeś przyjść o dziewiątej?

Poszłam spać po czwartej, a i tak spałam kiepsko. Zanim zasnęłam, kręciłam się na łóżku przez dobre kilkadziesiąt minut, bo męczyły mnie myśli na temat poprzedniego wieczoru.

Adams nadal błyskał białymi zębami i jak dziecko kołysał się na piętach.

— Pomyślałem, że możemy zjeść razem śniadanie — powiedział w końcu.

— Chris, ja zazwyczaj śniadania jem po dwunastej — jęknęłam.

Nie było mowy, abym się go pozbyła, nawet gdybym chciała. Przecież miałam do czynienia z Chrisem Adamsem. Łatwiej było pozbyć się roju szerszeni, a poza tym cieszyłam się, że go widzę.

— To jakiś progres. — Wzruszył ramionami. — Kiedyś w ogóle ich nie jadłaś i od razu zabierałaś się za obiad.

Uśmiechnęłam się delikatnie.

— W takim razie mam ochotę na jajka sadzone — westchnęłam, kapitulując. — Chodź.

Uśmiech Chrisa powiększył się jeszcze bardziej. Słyszałam, jak chłopak podąża korytarzem zaraz za mną.

— To powiesz mi, czemu pojawiłeś się tak wcześniej? — zapytałam, kiedy znaleźliśmy się w kuchni.

Odwrociłam się przodem do niego. Z uśmiechem rozglądał się po wnętrzu domu dokładnie tak samo, jak Mia dwa dni wcześniej. On również miał wiele wspomnień związanych z tym miejscem.

— Mówiłem ci, że zatrzymałem się u wujostwa — zaczął. — U siostry mamy. Jest okej, ale staram się nie przesiadywać tam za długo. Poza tym oni wszyscy wstają o szóstej nawet w niedzielę, więc i mnie się udziela.

— Wstałeś o szóstej? — zapytałam z niedowierzaniem. Trudno było mi sobie wyobrazić, że ktoś był w stanie wyciągnąć go z łóżka przed dwunastą.

Skrzywił się, jakbym właśnie powiedziała coś, co go głęboko znieśmaczyło i zdziwiło.

— Zwariowałaś? — fuknął. — Wstałem dwadzieścia minut temu i jak tylko się dowiedziałem, że na śniadanie jest zupa z soczewicy, postanowiłem od razu do ciebie przyjechać.

Teraz to ja uniosłam brew, spoglądając na niego z wyrazem twarzy podobnym do tego, z jakim on patrzył na mnie.

— Czyli przyszedłeś tu tylko po to, aby zwiać przed soczewicą? — zapytałam oschle.

— A spodziewałaś się czegoś innego? — odparł poważnie, jednak nie udało mu się ukryć tej isierki błyszczącej w jego piwnych oczach.

Sekundę później sam skapitulował i szeroko się uśmiechnął. Nie mogłam się powstrzymać i uniosłam kąciki ust, kręcąc głową.

— Ty idioto.

— To co? Zabieramy się do pracy? Jestem głodny jak wilk. — Na potwierdzenie swoich słów położył dłonie na swoim szczupłym brzuchu.

Zawsze zazdrościłam mu metabolizmu, jadł za trzech i nie tył. Nic a nic.

— Gotuj, a ja pójdę się trochę ogarnąć.

— Powinnaś — dodał zaczepnie, podchodząc do ekspresu. — Wyglądasz jak miotła.

Niewiele myśląc, strzeliłam mu otwartą dłonią w kark, na co zgiął się wpół. Uśmiechnęłam się złośliwie, bo od podstawówki tego nienawidził i nic się nie zmieniło.

W końcu powlokłam się w stronę schodów. Taka niedziela chyba mi odpowiadała.

Nie chciałam przyznać tego głośno, ale Chris miał rację. Wyglądałam jak miotła z potarganym kokiem i opuchniętą twarzą. Dobre piętnaście minut zajęło mi doprowadzenie się do porządku. Rozczesałam włosy, umyłam zęby i ochlapałam twarz zimną wodą. Piżamę zmieniłam na szare dresy i bordową bluzę z kapturem.

W dużo lepszym nastroju wróciłam do Chrisa, włożywszy wcześniej ciepłe skarpetki. Gdy wchodziłam do kuchni, stał tyłem do mnie, pichcąc coś przy blacie, więc skorzystałam z okazji — ze wstrzymanym oddechem doskoczyłam do niego i uszczypnęłam jego boki. Chłopak podskoczył w miejscu, piszcząc o dwie oktawy wyższym głosem, i natchem obrócił się w moją stronę z nożem i łyżką w dłoniach.

Uśmiechnęłam się bezczelnie, kiedy wbił we mnie wzrok.

— No kurwa, bardzo zabawne. No boki zrywać! — zawołał z udawanym entuzjazmem. — Wiesz, że mogłem cię dźgnąć? — zapytał, podsuwając mi przed twarz nóż.

Przewróciłam oczami, odtrącając ręką narzędzie.

— Chris, ty nie umiesz trafić nawet w nieruszający się przedmiot — prychnęłam.

— Chcesz się założyć? — postraszył, a ja nie mogłam zareagować na to inaczej niż pełnym politowania uśmiechem.

Razem zajęliśmy się przygotowaniem posiłku. Chris pokroił chleb i warzywa, a ja posmarowałam kanapki i usmażyłam jajka. Wywiązała się między nami krótka rozmowa na temat tego, co robił, kiedy przyjechał do Culver City i zatrzymał się u wujostwa. Nie było w tym nic ciekawego, ale chętnie słuchałam, co jakiś czas zadając pytanie, ponieważ strasznie tęskniłam za jego paplaniną. W tle cicho pobrzmiwała akustyczna składanka Arctic Monkeys.

— A co u twojej mamy? — zapytałam zaciekawiona.

— W porządku — odparł lakonicznie, a dźwięki, jakie wydawał ekspres, mieszały się ze skwierczeniem jajek. — Ciągłe przesiaduje w pracowni. Siłą trzeba ją stamtąd wyciągać, żeby chociaż zjadła. Nigdy nie widziałem jej tak zafiksowanej i zaangażowanej, chociaż wiesz, jak uwielbia swoją pracę — zamyślił się na chwilę. — Wydaje mi się, że to Paryż tak na nią wpływa. Kocha to miasto. Cieszy się, że wyjechała. Teraz uważa, że Culver City ją ograniczało i mieszkała tu ze względu na ojca.

Przełknęłam ślinę.

— Jak zareagowała na to, że tu wracasz?

— W sumie nijak. Powiedziałem jej, że mam kilka spraw do załatwienia. No wiesz, Vincent ściągnął mnie tu tym, że są jakieś niedomknięte sprawy w związku z moim ojcem. Paryż tak ją zaabsorbował, że nie wypytywała.

— A ty jak się tam teraz odnajdujesz? Nadal jesteś zakochany w mieście miłości? — zapytałam.

Chris był jedyną osobą z paczki z Culver City, z którą miałam jakikolwiek kontakt, dlatego też wiedziałam co nieco o niektórych sprawach. Na przykład o tym, jak bardzo polubił swoją uczelnię, i o tym, że mieszkał w wielkiej rezydencji pod Paryżem ze swoją matką, chociaż miał plany przenieść się do małego mieszkanka w centrum i powoli się usamodzielnąć. Kiedy z nim rozmawiałam, zawsze był taki szczęśliwy. Więc i ja grałam szczęśliwą, bo nie potrafiłam zabić jego entuzjazmu.

— Nigdy nie sądziłem, że Europa jest taka ciekawa — zaczął. — Francja... tyle tam różnych kultur. Lubię na to patrzeć. Wiesz, wcześniej wydawało mi się, że nigdy nie poczuję się tak dobrze poza Culver City. A Paryż jest cudowny.

— Ale? — zapytałam, bo nie usłyszałam w jego głosie takiej pewności, z jaką dawniej o tym mówił.

Przez chwilę mi nie odpowiadał, więc zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego w tym samym momencie, gdy on popatrzył na mnie. Jego piwne oczy lekko przygasły, ale uśmiech nadal tkwił na jego różowych wargach. Tyle że i on był smutny.

— Ale w Kalifornii muzyka brzmi jakoś ładniej.

Nie odpowiedziałam, jedynie wpatrywałam się w jego oczy przez dłuższą chwilę. W pewnym sensie to rozumiałam. Dla niego muzyka grała ładniej, a dla mnie gwiazdy świeciły jaśniej.

Ale to był tylko sentyment, nic więcej.

Zmusiłam się do uśmiechu, a potem się odwróciłam, aby wyłożyć jajka na talerz. W kuchni zapanowała dziwna atmosfera, ale Chris nie pozwolił jej rozgościć się na dłużej, więc minutę później znów beztrudno gawędziliśmy na różne tematy. Opowiadał mi o swoich znajomych, uczelni, studenckim życiu. O różnych głupotkach i o rzeczach ważnych.

— Myślałaś trochę o tym wszystkim? — zagaił w pewnym momencie, kiedy siedzieliśmy już przy wyspie kuchennej i konsumowaliśmy śniadanie.

— O czym? — zapytałam z pełnymi ustami, na co parsknął śmiechem, popijając swoją kawę.

— No wiesz. O całej tej sprawie z Vincentem.



Nagle nie do końca przeżuty kęs zaczął mi straszliwie ciążyć. Poczułam ochotę, aby wypluć go z powrotem na talerz. Wiedziałam jednak, że to byłoby przesadą, więc z trudem go przełknęłam. Pomidor zsunął się z wierzchu mojej kanapki i spadł mi na spodnie. Zakląłam cicho, a Chris podał mi chusteczkę.

— Szczerze? — zaczęłam, koncentrując się bardziej na wytarciu plamy niż na jego wpatrujących się we mnie oczach. — Może to głupie, ale częściej staram się o tym nie myśleć niż myśleć.

Rzuciłam zmiętą w kulkę chusteczkę na blat i z niechęcią spojrzałam na niedojedzoną kanapkę. Chyba straciłam apetyt. Coś czułam, że lada moment Adams zacznie zadawać bardziej precyzyjne pytania, co nie było mi ani trochę na rękę.

— Ja wiem, że robimy to wszystko po coś — zaczęłam głosem wyzutym z emocji. — To właśnie dlatego znowu tu jesteście. Mimo że to jest cholernie dziwne, a ja ani trochę nie ufam temu człowiekowi... nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie spróbowała dowiedzieć się prawdy.

— Naprawdę uważasz, że Joseline nie była waszą biologiczną matką?

Właśnie tego pytania się bałam. Już to, że wypowiedział je na głos, sprawiło, że włosy zjeżyły mi się na karku. Starałam się omijać ten temat, bo byłam pieprzonym tchórzem.

Powoli odetchnęłam, licząc w myślach do dziesięciu. Chris znał mnie kiedyś lepiej, niż ja znałam samą siebie. Może wygadanie się nie było takim złym pomysłem? Pokiwałam głową i pozwoliłam, by te okropne myśli wylały się z głębin mojego umysłu.

— Na samym początku byłam przekonana, że to niemożliwe, ale potem te wszystkie dowody... — zaczęłam cicho. — Ona była naszą mamą. Zawsze nią była i na zawsze pozostanie. Dlatego nie wiem, czemu to robię. Nie powinnam drażnić, ale te wszystkie informacje od Vincenta... Jeśli Joseline całe życie kłamała, muszę wiedzieć dlaczego. I czemu cała moja rodzina kłamała wraz z nią.

To przerażało mnie bardziej niż Vincent, Brooklyn i Venom razem wzięci. Oni byli niczym w porównaniu z palącą myślą, którą starałam się wyprzeć, że całe moje życie było kłamstwem. A jeśli było, to rodziło kolejne pytania...

*W takim razie kto jest naszą biologiczną matką?*

Poczułam, jak zjedzona wcześniej kanapka cofnęła mi się do gardła.

— Wiem, że może powinnam to zostawić, ale muszę wiedzieć — westchnęłam, a następnie zwiesiłam głowę. — Jestem popieprzona.

Zaśmiałam się w duchu z tego stwierdzenia. Byłam bardziej, niż im wszystkim się wydawało.

— Nie jesteś, Vic — odpowiedział od razu. — Wy z Theo macie najgorzej. Chodzi o waszą matkę i o waszą tożsamość... Tu nawet nie można powiedzieć, że masz prawo się tak czuć. Ty powinnaś się tak czuć, bo to po prostu popieprzone!

Nie wiedziałam, czy to przez jego dobór słów, czy przez histerię w jego głosie, ale moje wargi zadrżały. Nagle poczułam, jak zacisnął palce na mojej dłoni. W tamtej chwili nie pragnęłam niczego innego bardziej niż tego, aby poczuć się tak jak przed czterema laty. Chciałam, aby ten dotyk sprawił, że zrobi mi się lżej.

Ale nie miałam już siedemnastu lat, więc ta bliskość spowodowała jedynie, że spałam się ze stresu i poczułam żółć w gardle. Chciało mi się wymiotować i musiałam jak najszybciej się wyrwać.

— Wszystko się ułoży, Vic — niemal wyszeptał. — Uda się nam. Nam wszystkim.

Ale ja mogłam myśleć jedynie o tym, że chcę, by mnie puścił.

Skinęłam głowę. Chris posłał mi ciepły uśmiech, a potem powrócił do jedzenia swojego śniadania, na co odetchnęłam z ulgą. Szybko włożyłam dłonie pod uda, aby już mnie nie dotknął.

Adams chyba chciał zmienić temat, bo zaczął gderać coś o swojej ciotce, która każe mu jeść szparagi, a on nienawidzi szparagów. Słuchałam go jednym uchem, wciąż starając się uspokoić.

— Fajnie wczoraj było — odezwał się nagle, czym wyrwał mnie z transu. — Tylko szkoda, że tak krótko.

Prawie udławiłam się kanapką. Chłopak przyglądał mi się kątem oka, podczas gdy ja wpatrywałam się bez emocji w swój talerz.

— Tak, fajnie — burknęłam, starając się, aby mój głos brzmiał neutralnie.

— Nie mówiłaś, że znasz Severine — powiedział cicho, jakby starał się wybać teren.

Na dźwięk tego imienia znów straciłam ochotę na tę przeklętą kanapkę, którą próbowałam zmęczyć od dziesięciu minut. Odchrząknęłam, z obojętną miną wzruszając ramionami.

— Ty też nie mówiłeś, że ją znasz — odbiłam piłeczkę.

Mój przytyk sprawił, że lekko się zawstydził i spuścił wzrok. Skarciłam się za to w myślach, bo nie taki był mój zamiar, nie chciałam mu niczego wyrzucać.

Cudownie! Jeszcze tego mi brakowało, aby Adams stracił humor. Potrafiłam zabić entuzjazm każdego.

— Czuję się teraz głupio. Powinienem być ci powiedzieć — mruknął mętnie.

— Chris, to ich sprawa — odparłam pewnie. — Dobrze, że mi nie powiedziałeś. To nie tak, że należy mi się jakieś specjalne traktowanie, Boże. Nie widzieliśmy się od czterech lat, każde z nas poszło w swoją stronę i każde ma prawo ułożyć sobie życie po swojemu. Jasne, Nate zawsze będzie dla mnie ważny przez wzgląd na naszą przeszłość, ale to tylko przeszłość. Teraz nic nas już nie łączy poza sprawą z Vincentem. Niech się wiąże z księżniczką Disneya, jego sprawa.

Ostatnie zdanie wypłynęło ze mnie, nim zdążyłam o nim pomyśleć, ale ten temat coraz bardziej mnie irytował. To była decyzja Sheya, że chciał się ożenić z laleczką, która promieniowała szczęściem i uśmiechała się pewnie nawet przez sen.

*Ona przynajmniej jest miła, Vicky.*

Na szczęście Chris postanowił tego nie skomentować.

— Tak, tylko jest mi głupio, bo ja wiedziałem, że są razem, od kiedy się ze sobą związali — mruknął tak cicho, że ledwo go usłyszałam. — Czyli od jakichś trzech lat.

*Och.* To było dla mnie zaskoczeniem, bo nie pisał ani słowa podczas wszystkich naszych rozmów, gdy byłam w Maine.

— Cóż. — Odchrząknęłam. — Nadal nie masz powodów do zadreczania się — zapewniłam go, ale mój głos stał się jeszcze bardziej beznamiętny niż wcześniej.

— Poznałem ją, kiedy jakiś czas po przeprowadzce do Paryża wróciłem z mamą do Culver City, aby odwiedzić rodzinę — ciągnął, choć naprawdę nie chciałam kontynuować tego tematu.

Zamierzałam mu powiedzieć, że nie musi się tłumaczyć, ale nie dał mi dojść do głosu.

— Jakoś tak się złożyło, że Laura ze Scottem też tu akurat byli. Cameron już tu nie mieszkał, a Matt studiował. Wszyscy umówiliśmy

się jak zwykle w barze u Luke’a i... Nate przyszedł z Severine — wymamrotał. — Inni już o nich wiedzieli, ale dla mnie to był niezły szok, kiedy przedstawiła się jako jego dziewczyna.

*Wtedy jeszcze dziewczyna.*

— Była bardzo miła. W sumie nadal jest. Taki wesoły karzełek — mruknął ni to z rozbawieniem, ni z rozczuleniem. — Wyglądali razem fajnie i Nate wydawał się zadowolony z tego, że tak wyszło. Przynajmniej takie miałem wrażenie. Wiesz, dalej był Sheyem, ale nie zachowywał się już tak zgryźliwie jak kiedyś. Od razu wyłapałem, że o niczym nie wiedziała. O naszej przeszłości ani o tobie. Nate nic jej nie powiedział, więc to zaakceptowałem, bo to nie moja sprawa. I było okej, ale i tak mnie to zaskoczyło.

— Dlaczego? — zapytałam, marszcząc brwi. — Nate zasługuje na szczęście, a skoro ona mu je daje, to dlaczego każdy jest taki zdziwiony?

Chris przełknął głośno ślinę i choć starał się, abym tego nie zauważyła, wyczułam, że się spiął. Czyli było coś, o czym mi nie powiedział. Speszony wwiercał wzrok w swój talerz, podczas gdy ja z obojętną miną patrzyłam na jego prosty nos. W końcu znów odchrząknął.

— Nie jesteśmy zdziwieni tym, że jest szczęśliwy. Znaczy, ja nie jestem — zaczął powoli. — Szokujące było to, że zaufał komuś na dłużej. I to komuś na dobrą sprawę... przypadkowemu. Przecież go znasz.

Może przesadzałam, ale czułam, że nie mówi mi całej prawdy. To zdenierwowanie, unikanie mojego spojrzenia, wykręcanie palców pod blatem.

Mimo to chciałam mu pomóc, bo naprawdę nie miałam ochoty drażnić, więc przywołałam na twarz pogodny uśmiech. Jak zawsze wyszło mi to *idealnie*.

— Niby tak, ale każdy się zmienia — skomentowałam sztucznie beztroskim głosem. — A poza tym Severine jest kochana. Strasznie miła.

Ile razy ja już to powiedziałam?

— Tak — burknął niemrawo Chris.

Uniosłam brwi, bo gdy mówiłam tak o tej dziewczynie, każdy się ze mną zgadzał. Tylko że to zawsze było dziwaczne.

— Ale? — dopytałam.

— Tak, jest kochana i w ogóle... Nie znam jej za dobrze. Tylko kilka razy się z nią widziałem i nie rozmawialiśmy za wiele. Wydaje się naprawdę miła i sympatyczna. Widać, że muchy by nie skrzywdziła,

i w ogóle... Wszyscy ją lubią. W końcu jest takim chodzącym zadowoleniem, ale... — zablokował się, na co spojrzałam na niego ponaglająco.

— Ale? — ponowiłam pytanie.

Westchnął i posłał mi znużone spojrzenie.

— No nie powiesz mi, że nie jest trochę głupiutka.

Skłamałabym mówiąc, że jego słowa mnie nie zaskoczyły. Wiedziałam, że Chris jest bezpośredni, ale nie sądziłam, że aż tak.

Chłopak, widząc moją reakcję, szybko uniósł ręce w obronnym geście i zaczął ponownie trajkotać:

— Wiesz, że nie lubię oceniać ludzi. Nie chcę mówić o niej źle, bo nie znam jej za dobrze, ale te kilka razy wystarczyło, aby... — jęknął męczeńsko — ...nie chcę tak o niej myśleć, ale to się dzieje samo z siebie. Tak, jest miła. Tak, nigdy nie chce dla nikogo źle i stara się być sympatyczna dla każdego, a reszta ją uwielbia, ale po prostu... wydaje mi się taka dziecinnie naiwna i... no po prostu głupia. Lubię ją i nigdy nie zrobiła mi niczego złego, ale za każdym razem, jak z nią gadam, wydaje mi się, że rozmawiam z dziewczynką, która żyje w swojej własnej bajce, z dala od rzeczywistości, i wszystko widzi w jasnych barwach. Tak, tak, potrzebujemy optymistów, wszyscy znamy tę gównianą gadkę, ale czasami robi się to aż irytujące. A poza tym jest tak niesamowicie wścibska i chce wszystko wiedzieć. Trzeba jej odpowiadać i tłumaczyć. To wygląda tak, jakby po prostu niczego się nie domyślała i niczego nie zauważała. Jakby z tym swoim radosnym uśmiechem i różowymi okularami na nosie nie dostrzegała rzeczywistości — wyrzucał z siebie słowa tak szybko, że niektóre fragmenty jego wypowiedzi były dla mnie niezbyt zrozumiałe, i nawet trochę się przy tym zapowietrzył.

Och, to było naprawdę... zadziwiające i nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, więc tylko tępo wpatrywałam się w jego twarz.

Adams, widząc moje zawieszenie, jęknął, a następnie zaczął babrać widelcem w swoich jajkach sadzonych.

— W sumie wiesz co? — Zmarszczył brwi. — Zapomnij. Gadam głupoty, nie znam jej. Może ma doktorat z medycyny, zna łacinę, język migowy, a na wakacje jeździ do Afryki, aby pomagać tamtejszym dzieciom z językiem angielskim! Nie mam prawa jej oceniać.

Naprawdę chciałam, by mylił się co do tej dziewczyny, ale prawda była taka, że choć prawie jej nie znałam, zgadzałam się z nim. Severi-

ne wydawała się miła i kochana, ale podczas naszej rozmowy w barze o wszystko wypytywała, nie widziała naszego zmieszania i nie wyczuła, że atmosfera była napięta... Chris trafił w sedno: była niedomyślna i wścibska.

Nie chciałam wyjść na sukę. Pokręciłam lekko głową, czując, jak cierpnie mi kark.

— Jak bardzo okropna będę, jeśli się z tobą zgodzę? — zapytałam.

Chris spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Ty możesz to powiedzieć, ja nie bardzo, bo widziałam się z nią dwa razy.

— Boże, kamień z serca. — Odetchnął z prawdziwą ulgą, kładąc dłoń na klatce piersiowej. — Już myślałem, że tylko ja jestem okropny.

Pacnęłam go w ramię, jednak kąciki moich ust się uniosły. Chris, o wiele bardziej rozluźniony, pokręcił głową, upijając łyk kawy.

— Ale skoro Nate z nią jest, to znaczy, że ma coś w sobie. — Wzruszyłam ramionami.

— Może i tak, chyba tylko my jesteśmy uprzedzeni. Reszta wydaje się ją uwielbiać.

Skrzywiłam się nieznacznie. *To niech ją uwielbiają.*

— To dobrze. Jest w końcu dziewczyną Sheya — odparłam beznamiętnie, zachowując kamienną twarz.

— Narzeczoną — poprawił mnie Adams.

Puściłam to mimo uszu, bo nagle o czymś sobie przypomniałam.

— Hej, wiedziałeś, że Shey mieszka ze swoim bratem? — zapytałam.

Chris pokiwał głową.

— Tak, przyjechał do niego krótko po waszym wyjeździe — odrzekł. — Widziałem się z nim raz, gdy był dużo mniejszy. Mieszkają razem u Nate'a. Wydawał się uroczy, ale nieco nieśmiały.

Zamyśliłam się. Byłam ciekawa, czy kiedyś go poznam, ale szybko skarciłam się za te myśli. Niby dlaczego miałabym poznać kogokolwiek z jego rodziny?

Dokończyliśmy posiłek, nie poruszając więcej tematu Sheya. Jakoś nie chciałam o nim debatować, więc kiedy skończyliśmy jeść, zaczęliśmy sprzątać. Lekko spanikowana spojrzałam w stronę jednej z szuflad, w której były schowane moje leki, a niczego nieświadomy Chris wkładał naczynia do zmywarki. Przygryzłam dolną wargę, myśląc nad tym, jak

je wziąć, aby tego nie zauważył. W końcu to nie była jedna pastylka witamin.

Odchrząknęłam, robiąc neutralną minę.

— Pójdiesz do góry po mój telefon? — poprosiłam chłopaka. — Leży na szafce nocnej. Ja nastawię wodę na herbatę.

— Aż tak bardzo nie chce ci się ruszać? — zapytał zaczepnie, ale posłusznie zaczął wycierać dłonie w ściereczkę.

Przewróciłam oczami.

— Przecież wiem, że chcesz zobaczyć mój pokój i trochę pozwiedzać — odparłam sprytnie.

Chris się zaśmiał i ruszył w kierunku schodów. Spojrzałam na niego przez ramię.

— Zrobię miłą pobudkę Theo.

Uważnie patrzyłam, jak wspina się po schodach, a kiedy się upewniłam, że jest już na piętrze, szybko podeszłam do szuflady. Były w niej tylko leki, w większości moje. Wyjęłam odpowiednie, włożyłam naraz do ust i popiłam je wodą. Zdążyłam schować wszystkie pudełka i jak gdyby nigdy nic włączyłam czajnik elektryczny.

Gdy Chris wrócił, pakowałam resztę brudnych naczyń do zmywarki.

— Twój brat wstanie dziś prawdopodobnie lewą nogą! — zawołał śpiwnie. — Masz.

W wyciągniętej dłoni trzymał mój telefon.

— Dziękuję — odpowiedziałam i z uśmiechem schowałam iPhone'a do kieszeni.

— Mogłabyś powkladać te ciuchy do szafy. I przynieść kilka rzeczy. Strasznie tam pusto.

— To niepotrzebne — odparłam chłodno. — I tak zostajemy tu tylko na chwilę.

— Ach, no tak.

Przenieśliśmy się do salonu. Włączyłam telewizor i usiedliśmy na kanapie, rozmawiając o pracy chłopaka. Dorabiał w weekendy w znanym klubie w Paryżu jako DJ.

Po kilkunastu minutach po schodach zszedł Theo w czarnych dresach i szerokiej koszulce. Z rozczochranymi włosami wyglądał uroczo, tylko jego skwaszona mina nie pasowała do tego obrazka. Ziewnął głośno, mierząc zadowolonego Chrisa niechętnym spojrzeniem.

— Kiedyś ktoś naprawdę zabije cię za twój wrodzony talent do irytowania wszystkich wokół — burknął.

— Pora wstawać, słoneczko! Szkoda tak pięknego dnia — zaświergotał Adams.

Mój brat chyba jednak nie był w humorze, bo bez chwili zastanowienia porwał poduszkę z fotela, a następnie z niemałą siłą cisnął nią w Chrisa. Ten nie zdążył się obronić, więc dostał prosto w twarz. Kubek z herbatą w jego dłoni przechylił się, a nieco ciepłego napoju wylało się na jeansy chłopaka.

Theo z zadowoleniem opadł na drugą kanapę przy akompaniamencie cichych przekleństw Adamsa.

— Sadysta! — zawołał Chris.

— Szkoda, że ta herbata nie była wrząca — odpowiedział mój brat.

Starałam się skupić na programie w telewizji, gdy Chris nagle zagwizdał z uznaniem, przyjrzawszy się odkrytym przedramionom Theodora.

— Nie wiedziałem, że podobają ci się tatuaże. Niezłe są.

— Dzięki — rzucił Theo.

Następnie Adams spojrzał na mnie.

— A kiedy ty sobie jakiś zrobisz, hm? — zapytał, unosząc brew.

Zachowałam zimną krew i nawet nie drgnęłam. Zaledwie kilka osób wiedziało o tym, że na moich żebrach widnieje już pewien malunek...

— To nie dla mnie — odparłam wymijająco, zmieniając ze znużeniem kanał w telewizji.

Na szczęście z opresji wybawił mnie mój brat:

— Nasze auto dziś będzie.

Skinęłam głową niezbyt zainteresowana. W końcu i tak prowadzić je miał tylko on.

Znów wyłączyłam się z rozmowy, podczas gdy Chris i Theo debatowali nad tatuażami mojego brata. Zastanawiałam się, czy nie popełniłam błędu, spędzając czas najpierw z Mią, a później z Chrisem. Wiedziałam, że nie mogę znów się przywiązywać. Dla własnego dobra powinnam była załatwić szybko sprawę z Vincentem i *wrócić do domu*.

Nawet jeśli myśl o tym przynosiła mi dziwny dyskomfort.

Zacisnęłam szczękę, a następnie spojrzałam na wciąż paplającego Chrisa. Postanowiłam się wtrącić, aby zająć głowę czymś innym niż te nieprzyjemne myśli.



— Hej, Chris — wychrypiałam, a chłopak popatrzył na mnie pytająco. — Łączy cię coś z Cameronem?

Po moim pytaniu uśmiech spelzł z jego twarzy, a zastąpił go dziwny grymas... chyba zawstydzenia. Zakłopotany przeniósł wzrok na kubek z herbatą, a jego uszy stały się różowe.

— Skąd to pytanie? — zapytał nieco bardziej piskliwym głosem niż dotąd.

— Wczoraj w barze wydawałeś się przy nim zawstydzony.

Wystarczyło, by Wilson spojrział na Chrisa, a ten już czerwienił się jak dorodna piwonია, co było do niego niepodobne. Ten chłopak dawniej nie wiedział, co to wstyd, zwłaszcza gdy chodziło o ładnych chłopców. Tymczasem na Camerona reagował nawet mocniej niż przed czterema laty.

— Tak nie było — bronił się.

— Mnie tam się wydawało, że było — droczyłam się, obserwując żyłą pulsującą na jego szyi.

— Mnie również — dołączył się Theo.

Chris jęknął, a następnie wyrzucił ręce w powietrze, podrywając się z kanapy.

— A ty myślisz, że ja wiem?! — zawył, o mało nie wylewając swojej herbaty. — Typa na oczy kilka lat nie widziałem, a ten posyła mi jakieś dziwne uśmiešky i jest tak cholernie wyrafinowany z tymi swoimi płaszczami, golfami i szerokimi ramionami! Tak kurewsko mnie irytuje ta jego pewność siebie i ta nonszalancja, i... i... i on cały! Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, chcę tylko, żeby przestał! Doprowadza mnie do szału! Mam go dość i nie mogę na niego patrzeć!

W szoku obserwowałam, jak powoli uspokaja się po swoim nagłym wybuchu. Och, spodziewałam się emocjonalnej reakcji, ale nie tak nagłej i gwałtownej. Nie wiedzieć czemu zachciało mi się śmiać, ale zdusiłam to w sobie, aby jeszcze bardziej go nie denerwować. Po prostu był tak zabawny w tej całej grze w „nie cierpię Camerona Wilsona”... Zielonooki przystojniak wydawał się pierwszą osobą, przy której Adams tracił pewność siebie, a Wilson chyba to wiedział i celowo go podpuszczał.

Theo nie był tak wyrozumiały jak ja, bo zaczął cicho rechotać. Chris, któremu drgało już jedno oko, niemal zabił go spojrzeniem. Przez to i ja musiałam zatuszować swoje parsknięcie udawanym atakiem kaszlu.

— Co cię tak bawi, Theodorze? — syknął Adams przez zaciśnięte zęby.

— Cztery lata temu wam się nie udało, choć było blisko — zaczął rozbawiony. — Ale teraz daję wam trzy tygodnie i wyładujecie w łóżku.

Theo powiedział to tak beztrząsco i lekko, jakby mówił o pogodzie. Chris wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, a jego oczy urosły do rozmiaru piłeczek golfowych. Upiłam łyk herbaty i obserwowałam zacięty wyraz twarzy swojego dawnego przyjaciela.

— Nigdy w życiu nie tknąłbym Wilsona — powiedział dobitnie Adams. Wskazał palcem na Theo, który ze śmiechem uniósł ręce. — I prędzej piekło zamarznie, niż on tknie mnie. Jasne?

— Jak słońce — odpowiedział melodyjnie mój brat.

Zacisnęłam zęby z całej siły, aby nie parsknąć śmiechem.

Chris odstawił kubek z herbatą, a następnie z wysoko uniesioną głową wymaszerował z salonu i udał się do łazienki. Kiedy zniknął nam z pola widzenia, Theo spojrzał na mnie z zawadiackim uśmiechem.

Uniosłam pytająco brew.

— Dziesięć docłów, że prześpią się ze sobą do końca miesiąca — zaproponował chytrze.

Zamyśliłam się. Był siódmy listopada, a ja byłam gównianą przyjaciółką.

— Podbijam do dwudziestu — westchnęłam. — Chris nie jest taki łatwy, jak się może wydawać. Jeśli się uprze, to nic go nie przekona. I nie wiesz, czy Cameron w ogóle czegoś chce. Według mnie on tylko się z nim droczy.

Theo spojrzał na mnie z politowaniem, tak jakbym właśnie powiedziała mu, że Ziemia jest płaska.

— Czy ty nie widzisz, jak Cameron na niego patrzy? — zapytał rozbawiony. — Cztery lata temu może sobie z nim pogrywał, ale nie tak. Chyba miał dziewczynę, więc było wiadomo, że nic z tego nie będzie. Teraz jest prawdopodobnie wolny. Za każdym razem, jak się spotykamy, patrzy głównie na Chrisa. I to takim wzrokiem.

— Niby jakim? — spytałam z lekkim powątpiewaniem.

Cholera, naprawdę tak było? Poważnie zaczęłam się obawiać o swoje dwadzieścia dolarów.

— Jakby chciał zębami zerwać z Chrisa ten pstrokaty garnitur — parsknął, krzyżując dłonie za głową. — Dlatego daję im górę miesiąc.

Jeśli Cameron dalej będzie się tak zachowywać, Chris nie da rady się opanować. Na starcie wygrałem zakład.

— Jeszcze zobaczymy.

Czułam, że to będzie ciekawe.

Porzuciliśmy konwersację, bo nadal obrażony Chris wrócił do salonu. Aby nie katować go dalej, zmieniłam temat i zaczęliśmy rozmawiać o starych znajomych ze szkoły. Adams tylko przez pierwsze trzy minuty grał niezainteresowanego, nim zaczął obgadywać niemal każdego ucznia z naszego rocznika.

To był miły dzień, pełen śmiechu, krzyku i rozmów. Nie zahaczaliśmy już o Vincenta, Severine czy nieszczęsnego Camerona. Chcieliśmy utrzymać wesołą atmosferę i nam się to udało. Po produkty na obiad pojechaliśmy samochodem z wypożyczalni, który został podstawiony pod nasz dom. Był to ładny dwuletni mercedes benz w białym kolorze. Podobał mi się.

Chris wrócił do siebie dopiero po jedenastej w nocy. Myślałam, że ten dzień coś we mnie zmieni, że poczuję się inaczej, ale gdy przytulał mnie na pożegnanie, znów marzyłam tylko o tym, aby jak najszybciej się odsunął. Zaczynałam tracić nadzieję, że uda mi się kiedykolwiek naprawić samą siebie.

Ale było dobrze.

\*\*\*

Niestety spokój nie trwał długo.

Bo były też te złe dni.

Taki dzień nadszedł w poniedziałek. Już kładąc się do łóżka po wizycie Adamsa, wiedziałam, że coś jest nie tak, że za długo było dobrze. Dopadł mnie znajomy niepokój, a wkrótce potem lęk chwycił mnie za gardło. Nie mogłam zasnąć, choć byłam wyczerpana. Moje serce waliło tak głośno, że ten odgłos niósł się echem po całym pokoju, i mdliło mnie ze stresu. Wtedy już wiedziałam, że znowu zacznie się ciąg złych dni.

Tak długo już ich nie miałam. Od dwóch miesięcy nie było żadnego złego dnia i to było takie cudowne. Kłaść się spać bez lęku, nie bać się zamknąć oczu.

Gdy obudziłam się w poniedziałek, nie mogłam wstać z łóżka. Nie wiedziałam, która jest godzina, bo nie potrafiłam wyciągnąć ręki, aby się-

gnąć po telefon z szafki nocnej. Ciężka puchowa kołdra mnie przygniotła, gdy leżałam nieruchomo na boku na wygodnym materacu. Patrzyłam tępo w jakiś punkt przed sobą, na którym i tak się nie skupiałam. Nie miałam siły psychicznej, aby się na nim skoncentrować.

Nie miałam siły, aby wstać. Nie miałam siły, aby pójść do łazienki, umyć zęby i się przebrać. Nie miałam siły, aby skorzystać z toalety, choć mój pęcherz nalegał. Nie miałam siły, aby przekręcić się na drugi bok.

Bolał mnie każdy fragment ciała, każdy oddech powodował palenie w gardle. Czułam się ciężka i otępiała, jakby ktoś wetknął rozżarzone żelazo w mój przełyk. Nie miałam siły oddychać.

Nie chciałam oddychać.

Nigdy nie pamiętałam za wiele ze złych dni. Wszystko było jak za mgłą, godziny zlewały się w jedną plamę, rejestrowałam z każdej co najwyżej kilka sekund. Jakbym to nie ja uczestniczyła w tych wydarzeniach. Schemat zawsze był ten sam.

Pamiętałam to, że nieruchomo leżałam w łóżku. Byłam w stanie przeleżeć w jednej pozycji kilkanaście godzin. Theo był przy mnie. Wiedział, co oznaczają moje złe dni. Wtedy brałam więcej leków. Mój psychiatra tak zalecił. Trochę mnie otumaniały, ale to było dobre. Przy najmniej ciało bolało mniej. Zazwyczaj go nie czułam. Nie wiedziałam, gdzie kończą się moje ręce, a zaczynają barki. Nie czułam płuc, serca, kończyn. Podczas złych dni zaczynałam płakać. Nie robiłam tego, kiedy było dobrze. Czasami wydawało mi się, że nawet tego nie umiem, ale kiedy przychodziły złe dni, łzy bólu same spływały po moich policzkach. To tak strasznie bolało.

Pierwszy raz popłakałam się, gdy musiałam wstać do toalety. Nawet nie wiedziałam, kiedy mój cichy szloch rozniósł się po całym pokoju. Pamiętałam, jak paliła mnie twarz i jak szybko oddychałam. Płakałam, gdy Theo niósł mnie do łazienki. Kiedy pomagał mi skorzystać z toalety. Kiedy mył mi dłonie i przemywał chłodną wodą moją opuchniętą twarz. Pamiętałam swoje odbicie w lustrze, na widok którego znów zaczęłam głośniej płakać. Pamiętałam skołtunione, tłuste włosy, ogromne, fioletowe sińce pod oczami oraz spierzchnięte usta. Pamiętałam to, jak Theo próbował nakarmić mnie zupą, której nie mogłam przełknąć. Pamiętałam, jak popijałam kolejne kolorowe tabletki.

Pamiętałam ponowny upadek w nicość.

Podczas złych dni nie spałam za wiele. Czasami udawało mi się prześpać dwie godziny w nocy, a niekiedy nie zamykałam powiek na dłużej niż trzy sekundy. Nie odzywałam się, bo nie chciało mi się otwierać ust. To było tak strasznie męczące, męczyło mnie bycie zmęczoną.

Theo nie wychodził wtedy z domu, był zawsze przy mnie, sprawdzając, czy czegoś nie potrzebuję i czy wzięłam kolejne tabletki. Czułam się tak okropnie. Byłam beznadziejnym ciężarem i nie zasługiwałam na to, aby kogokolwiek przy sobie mieć, a zwłaszcza Theo. Był dla mnie za dobry. Obciążałam go. Byłam taka okropna, byłam najgorszym, co mogło spotkać człowieka.

Właśnie w tym stanie spędziłam cały poniedziałek i cały wtorek.

Trzeciego dnia było nieco lepiej. Potrafiłam sama wstać do łazienki, Theo nie musiał mnie tam zanosić. Wtedy też pierwszy raz od trzech dni wyszłam ze swojego pokoju, chociaż bardzo tego nie chciałam, ale zależało na tym mojemu bratu. Zaproponował to, zgodziłam się, a on się uśmiechnął. Pierwszy raz od początku złych dni. Zniósł mnie ostrożnie po schodach i wyszliśmy na taras. Moja głowa zaboląła od nadmiaru świeżego powietrza i słońca. Mimo że było bardzo ciepło, mocno opatulałam się puchatym kocem, bo moje ciało drżało z zimna.

Czwarty dzień był jeszcze lepszy. Pierwszy raz od niedzieli wzięłam prysznic bez pomocy Theo. Chciałam zmyć z siebie wszystko, cały bród z zewnątrz i z wewnątrz. Wszystkie toksyny, które we mnie zalegały. Ale kiedy strumienie wody nie przynosiły mi wymarzonego ukojenia, zdałam sobie sprawę, że nie mogłam ich z siebie wypłenić. Bo to ja byłam toksyną.

Theo wyglądał na szczęśliwego, widziałam to i tego nie rozumiałam. Zawsze był ze mnie taki dumny, kiedy złe dni mijały, a ja zaczynałam wykonywać te wszystkie zwykłe czynności, które nadal tak cholernie mnie męczyły. Chyba tylko dla niego chciałam to robić. Jego oczy błyszczały, gdy samodzielnie chwyciłam szczoteczkę do zębów, wycisnęłam na nią pastę i włożyłam do ust. I tylko ze względu na niego ostatkiem sił powstrzymywałam cisnące mi się do oczu łzy, a potem spinałam się w sobie, aby nie opuścić ręki.

Już nie przyjmowałam pięciu tabletek, tylko trzy, Theo skrzętnie tego pilnował. Nie wiedziałam, co biorę, po prostu łykałam to, co mi dawał. Wzięłabym wszystko, co by mi dał. Ufałam mu bardziej niż sobie, niż komukolwiek na świecie.

Gdy za oknem słońce chyliło się już ku zachodowi, leżałam na swoim łóżku, jednak nie tak nieświadomie jak wcześniej. Czułam się świeża, choć moja pościel nadal cuchnęła potem. W zmarzniętych dłoniach trzymałam kubek z herbatą. Byłam już przytomna, może nie w stu procentach, ale mój umysł zaczął kontaktować.

W moim pokoju był okropny bałagan, wszędzie wałały się opakowania po lekach, ubrania i buty. Drzwi do łazienki i do pokoju Theo były otwarte. Chciał mieć mnie na oku nawet wtedy, gdy szedł spać do siebie.

Spojrzałam na telefon, którego nie dotykałam od czterech dni. Nie wiele myśląc, sięgnęłam po urządzenie. Ekran się podświetlił, a moim oczom ukazały się dziesiątki powiadomień. Serce zabiło mi szybciej, więc od razu odrzuciłam iPhone'a na materac. Jeszcze nie, jeszcze nie byłam gotowa, aby powrócić do świata. Byłam za słaba na to, by znów kłamać, wymigiwać się i udawać, że jest dobrze.

Z zamyślenia wyrwało mnie ciche skrzypnięcie drzwi. Theo wszedł do pokoju i uśmiechnął się słabo. Podeszedł do mojego łóżka, a następnie usiadł na skraju materaca. Był zmartwiony i to mnie zaniepokoiło.

— Coś się stało? — zapytałam, krzywiąc się na dźwięk własnego głosu. Przez kilkudniowe milczenie był jeszcze bardziej zachrypnięty i jakby obcy.

Theo westchnął, przejeżdżając językiem po dolnej wardze.

— Nic, tylko... Dzwoniła do mnie Laura. Pytała, dlaczego się nie odzywamy.

Przełknęłam ślinę, starając się zachować neutralną minę i grać niezmartwioną.

— Co jej powiedziałaś? — zapytałam. Było mi znów niedobrze.

— Pierwszy raz zadzwoniła do mnie we wtorek. Pytała się, czy wszystko gra, bo nie odpisywałaś ani jej, ani Chrisowi na wiadomości, a ja też nie miałem jakoś tego głowy. Powiedziałem, że się rozchorowałaś i nie masz siły gadać. Grypa — dodał z bladym uśmiechem. — Potem dzwonili jeszcze kilka razy. Laura, Chris, a nawet Mia. Chciała wiedzieć, czy wszystko u ciebie okej, bo się dowiedziała, że źle się czujesz. Cameron też pisał, a wczoraj... — urwał, na co spojrzałam na niego z uniesioną brwią.

— Wczoraj co?

W tym świetle, w czarnych dresach oraz za dużej bluzie i ze zmartwioną twarzą, wyglądał na dziesięć lat starszego. Miał podkrążone oczy,

ponieważ od kilku dni zamiast spać, wołał mnie pilnować. Był wycieńczony, a ja doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że to wszystko było wyłącznie moją winą.

Zabijałam osobę, która była dla mnie całym światem. Zabijałam ją, bo byłam bałaganem i miałam problemy, z którymi nie umiałam sobie poradzić. Tak bardzo nie zasługiwałam na silnego Theo. Powinien był odejść, zostawić mnie i zacząć żyć tak, jak na to zasługiwał. Ograniczałam go.

Poczucie winy wypalało mnie od środka, więc zacisnęłam zęby i przybrałam obojętną pozę, bo tylko tak potrafiłam jeszcze funkcjonować. Chciałam mu pokazać, że nie jest ze mną aż tak źle, że się staram, ale nie miałam na to siły, bo byłam żalosną miernotą.

— Wczoraj przyszli do nas Chris, Matt i Laura. Chcieli cię odwiedzić — odparł cicho, a ja czułam, że tracę oddech. — Byłaś wtedy w pokoju. To było wieczorem. Słyszałaś dzwonek?

Pokręciłam głową. Wieczorem czułam się źle, bo schodziła ze mnie ostatnia dawka leków. Nie rejestrowałam za wiele.

— Powiedziałem, że śpisz, bo jesteś strasznie zmęczona. Uwierzyli i sobie poszli. Ale dziś Laura zadzwoniła znowu, bo... kolega Scotta dał znać, że dzisiaj w klubie jest ten zawodnik, z którym ma walczyć Nate. Chcą tam pójść, aby jakoś to załatwić.

To było jak kubeł lodowatej wody. Mieliśmy tyle do zrobienia, przecież Vincent czekał. Wkładałam wiele wysiłku w to, aby zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale czułam, jak coś rozrywa mnie od środka.

— To dobrze. Im szybciej, tym lepiej — mruknęłam dziwnie obcym głosem.

— Idą tam wszyscy, więc wypadałoby, aby któreś z nas też było. Stąd moje pytanie, czy zostaniesz dzisiaj sama. Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak tylko się da. Wiedzą, że jesteś chora, więc nikt nie będzie wypytywał.

To była moja jedyna szansa. Szansa na to, aby pokazać Theo, że nie jestem jedynie problemem. I chociaż wszystko w moim ciele krzyczało, zacisnęłam szczękę, bo podjęłam decyzję.

*Nie rób tego. Jesteś za słaba. Będziesz tylko przeszkadzać. Lepiej zostać w domu, w ciepłym łóżku, i zapomnieć. Odpocznij.*

*Pieprz się. Nie dam ci tej cholernej satysfakcji.*

— Pójdę z wami — powiedziałam, o dziwo, pewnym głosem.

Reakcja Theo była natychmiastowa.

— Nie ma mowy.

Miałam jeszcze o to walczyć? Miałam w ogóle na to chęć? *Boże święty. Nie walcz. Nie warto. Sama chcesz zostać w domu. W łóżku. W bezpiecznym miejscu.*

— Theo, czuję się dobrze — skłamałam. — Nie chcę leżeć i myśleć. To nie tak, że trzeba wokół mnie skakać. Nie jestem cho... nie jestem niesprawna — poprawiłam się. — To wyjdzie mi na dobre. Pozwól mi iść z wami. Będzie dobrze. Proszę.

Musiałam być ze stali, bo pomimo tego, że każdym słowem zadawałam sobie cios pod żebra, ani drgnęłam.

Theo w zamyśleniu skubał dolną wargę. Nie dziwiłam się, że miał obiekcje, bo byłam jedną wielką niewiadomą. Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, kiedy nastąpi kolejny kryzys. Chciałam mu pokazać, że sobie poradzę, chociaż sama nie wiedziałam, czy to mogło się udać. Chociaż nie miałam siły, aby wstać.

— Jesteś tego pewna? — zapytał.

Ignorując ból, pokiwałam głową. Przybrałam niewzruszony wyraz twarzy, jakby to nic mnie nie kosztowało. A kosztowało tak strasznie dużo.

Theo westchnął, a ja wiedziałam, że się udało. W jego oczach mimo wszystko dostrzegłam zmartwienie i niepewność.

— Dobrze, pójdziesz z nami. Weźmiesz jedną z tabletek na uspokojenie, dobrze? Na wypadek kolejnego ataku — oznajmił, a ja potaknęłam. — Będziesz po niej trochę przymulona, ale najwyżej powiemy, że jeszcze się nie wykurowałaś i jedziesz na przeciwbólowych. Jeśli źle się pocujesz, masz mi od razu powiedzieć, jasne?

— Dobrze — obiecałam, choć nie byłam z nim w stu procentach szczerą.

Ciąg złych dni przebiegał różnie. Trzy lata wcześniej zdarzało się, że było ich kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt z rzędu. Z czasem zaczęło się to zmieniać, a częstotliwość, z jaką przychodziły, zmalała. Stało się tak głównie za sprawą mocnych leków i terapii. Przerabialiśmy to już dziesiątki razy. Złe dni były jak choroba. Musiałam ją przejść i po wszystkim walczyć jeszcze mocniej, aby się nie nasilała.

— Wystarczy ci godzina na wybranie się?



— A może być godzina z kawałkiem? — zapytałam nieśmiało, na co Theo posłał mi lekki uśmiech i skinął głową.

— Może być godzina z kawałkiem — potwierdził, a następnie wstał. — Ja też pójdę się zbierać. Jeśli trzeba będzie ci w czymś pomóc, to wołaj, dobrze?

— Dobrze.

Theo wyszedł z mojego pokoju.

*Dasz radę. Dasz radę. Dasz radę.*

Powtarzając to pod nosem, ociężale wstałam z łóżka. Nadal czułam się, jakbym była na granicy. Zacisnęłam szczękę i podeszłam do swojej walizki, choć najchętniej zostałabym w dresie. Nie chciałam jednak, aby nasi znajomi widzieli mnie w takim stanie.

Piętnaście trudnych minut później miałam już na sobie elegancką czarną sukienkę od Karla Lagerfelda. Była prosta, przylegająca do ciała i sięgała mi do połowy uda, a jej rękawy kończyły się przy łokciach. Dzięki złotym wstawkom i guzikom robiła wrażenie.

Postanowiłam się pomalować i to było trudniejsze niż ubranie się, bo dwa razy rozplakałam się z bezsilności, przez co musiałam zaczynać od nowa. Po kilkudziesięciu minutach w końcu się udało. Co prawda mój makijaż nie był górnych lotów, ale choć trochę ukrył zmęczenie widoczne na mojej twarzy.

Uczesałam włosy i przygryzając dolną wargę niemal do krwi, zakładałam złote pierścionki i długie kolczyki z diamentami. Byłam taka żałosna.

Z jękiem włożyłam czarne szpilki, a gdy się wyprostowałam, czułam się tak, jakbym przebiegła maraton.

Nie cierpiałam tego stanu, gdy nie byłam w stanie zrobić czegoś nie ze względu na słabość fizyczną, ale psychiczną. To był najgorszy rodzaj tortury. Zacisnęłam powieki, przykładając dłonie do pulsujących skroni. Wiedziałam, że się poddałam, wyczerpałam cały zapas energii. Nie miałam siły, żeby wstać czy chociażby z powrotem się przebrać. Powoli osunęłam się na materac, gdy nagle drzwi znów się otworzyły.

W progu stanął mój brat, w pełni gotowy, w jasnych spodniach i kremowym swetrze, spod którego wystawał biały kołnierzyk koszuli. Nadal wyglądał na zmęczonego, ale nie na zamęczonego, a to był plus. Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam, z jaką dumą na mnie patrzył, ponieważ zdołałam sama się wyszykować. Był taki szczęśliwy z tego powodu, a ja

poczułam się, jakby dał mi cios prosto w twarz. Zaciskając zęby, usiadłam i westchnęłam.

— Jesteś już gotowa? — zapytał, na co pokiwałam głową. — W takim razie chodź. Jedziemy.

Zdusiłam w sobie jęk, kiedy wstawałam z łóżka. Powłóczyłam nogami, idąc w stronę wyjścia. Nie dbałam o to, by wziąć torebkę czy telefon. Nie zgasiłam nawet światła, po prostu szłam za Theo, pierwszy raz od kilku dni pokonując taką długą trasę sama, a każdy krok był dla mnie jak uderzenie stopą w ścianę.

Theo już cierpliwie czekał przed drzwiami wyjściowymi z moim długim czarnym płaszczem, więc zacisnęłam dłoń w pięść i zmusiłam się do uniesienia kącika ust. Chyba uwierzył, że dam radę, bo ucieszył się jeszcze bardziej. Bez słów odwróciłam się tyłem, bezwiednie unosząc ramiona, i pozwoliłam mu założyć okrycie na moje plecy.

To było dobre, było w porządku. Kłamstwa pomagały poczuć się lepiej.

— Masz. — Podał mi małą ziołową tabletkę. Bez słowa włożyłam ją do ust, wiedząc, że muszę poczekać, aż się rozpuści. — Dobrze, chodź. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Na zewnątrz było ciemno, a ja nawet nie wiedziałam, którą mamy godzinę. Gdyby nie Theo, nie miałabym pojęcia, jaki to dzień. *Czwartek*. Czwarty dzień złych dni. Latarnie były włączone, a w oknach innych domów widziałam światła. Biały mercedes stał zaparkowany na podjeździe, więc gdy Theo otworzył mi drzwi, bez słowa wśliznęłam się do środka. Kiedy zapinałam pas, musiałam odwrócić się i patrzeć w górę, aby żadna łza nie wydostała się z moich oczu. Każdy krok był piekłem. Czułam się tak, jakbym stąpała po rozżarzonych węglach, a gdy oddychałam, wydawało mi się, że wdycham trujący gaz. Jednak z całych sił starałam się utrzymać beznamietną maskę.

*Jest dobrze. Wszystko jest w porządku.*

Mój brat odpalił silnik i wyjechał spod naszego domu. Pustym wzrokiem wpatrywałam się w obrazy za szybą, w radiu leciał jakiś popowy hit, a światła odbijały się od pokrytej skórą kremowej tapicerki.

— Jedziemy od razu pod ten klub — powiedział nagle Theo po dłuższej chwili ciszy. — Reszta już jest. Czekają na nas.

Nie odpowiedziałam, jedynie skinęłam głową. W głębi duszy zaczęłam żałować, że porwałam się z motyką na słońce. W moim stanie

okłamywanie jednej osoby było wyczynem, więc czy okłamanie dziecięciu jednocześnie było w ogóle wykonalne? Wzięłam uspokajający oddech. Nie uspokoił mnie.

Resztę drogi pokonaliśmy w ciszy, aż w końcu dotarliśmy do celu. Obojętnie patrzyłam, jak Theo wjeżdża w krętą, obskurną uliczkę obsadzoną po obu stronach krzewami, o które nikt nie dbał. Okolica nadal napawała lękiem. Przed gigantycznym budynkiem z wieloma oknami, które świeciły się różnymi kolorami przez neony w środku, znajdowało się mnóstwo samochodów. Do wejścia utworzyła się już długa kolejka ludzi, a ja nawet w samochodzie słyszałam dudniącą muzykę.

Lokal wyglądał dokładnie tak jak przed laty. Niestety źle go wspominałam, klub DEATH kojarzył mi się przede wszystkim z Brooklynem.

— Tyle razy słyszałam o tym miejscu, ale jakoś nigdy tu nie byłem — przyznał się Theo.

Zerknęłam na niego kątem oka, ale nie odpowiedziałam. Oddałabym wszystko, aby móc powiedzieć to samo. Im dłużej wpatrywałam się w budynek, tym bardziej uświadamiałam sobie, że moja przeszłość, którą tak bardzo chciałam od siebie odsunąć, znów do mnie powraca.

Chłopak zaparkował, otworzył mi drzwi, a ja niezgrabnie wysiadłam. Lekko się zachwiałam przez nagły zawrót głowy. Theo spojrzał na mnie zmartwiony, przytrzymując mnie za łokieć.

— Wszystko w porządku? — zapytał zdenerwowany.

— Tak — skłamałam, a na moje usta wypłynął uspokajający uśmiech. — Dawno się nie ruszałam. Ale jest okej.

— Jeśli coś będzie się działo, powiedz mi — poprosił, więc ponownie skinęłam głową.

Mój brat rozejrzał się wokół, po czym westchnął, wskazując na drugą stronę parkingu.

— Tam są — mruknął, więc automatycznie tam spojrzałam. — Chodźmy — zarządził, a ja potulnie wykonałam jego polecenie.

Rzeczywiście, pod jednym z rozłożystych drzew przy swoich samochodach stali nasi znajomi. Włożyłam ręce do kieszeni płaszcza i krzycząc w środku, przywołałam na twarz najbardziej beztroską minę, na jaką było mnie stać. Kiedy byliśmy kilka jardów od nich, Laura nas zauważyła i ochoczo nam pomachała, zwracając uwagę reszty.

*Jest dobrze. Czujesz się dobrze.*

— W końcu jesteście! — zawołała radośnie, a następnie krokiem godnym baletnicy ruszyła w naszą stronę.

— Jesteśmy — odparł Theo, kiedy znaleźliśmy się tuż przy nich. Uparcie wpatrywałam się w jego profil, aby nie mierzyć się ze spojrzeniami, które poczułam na swoim ciele. — Korki i te sprawy.

— To dobrze, że dotarliście — mruknęła Laura. — Hej, Vic — zaczęła, a ja wiedziałam, że jeśli nadal będę tak mocno zaciskać dłonie w pięści, to popękają mi paznokcie. — Już dobrze się czujesz? Theo mówił, że okropnie zachorowałaś. Myśleliśmy, że nie przyjedziesz.

I co niby miałam zrobić? Wiedziałam, że muszę odpowiedzieć, aby nie wzbudzać podejrzeń. Z kamienną twarzą spojrzałam w ciepłe, jasne oczy dziewczyny, które patrzyły na mnie z namacalną wręcz troską i to było tak cholernie tragiczne, bo ona się martwiła. Tak kurewsko się martwiła, więc zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby uruchomić to, co jeszcze mnie ratowało. *Przełącznik.*

Delikatnie się uśmiechnęłam i pokiwałam głową.

— Tak, dopadł mnie jakiś wirus, ale już jest w miarę okej — powiedziałam pewnym głosem, który tak bardzo różnił się od tego, którego używałam w domu. I choć to bolało każdą komórkę mojego ciała, kątem oka dostrzegłam, że Theo znów się uśmiecha. — Ale tych czterech dni to prawie nie pamiętam. Zupełnie, jakby trwały kilka sekund.

*Cóż, nie skłamałaś.*

— Nadal nie za dobrze wyglądasz — mruknął Scott, kładąc dłonie na biodrach Laury. Zmartwiony patrzył na moją twarz. — Musiało cię dopaść coś potwornego.

— Tak — mruknęłam. Tu miał rację.

W końcu zdecydowałam się zerknąć na innych. Miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy, gdy zrozumiałam, że wszyscy są zaniepokojeni i patrzą na mnie badawczo. Nawet Jasmine, która stała najbardziej z boku, niedaleko Camerona, obserwowała mnie z... troską. Chris wyglądał, jakby chciał mnie przytulić, ale na szczęście sobie darował. Miałam nadzieję, że moja „choroba” powstrzyma ich przed zbliżaniem się do mnie. Czułam, że nie dałabym rady wytrzymać jeszcze bliskości fizycznej.

Dopiero po chwili dostrzegłam ostatniego z wybranych. Jako jedyny nie patrzył na mnie, tylko klikał coś w swoim telefonie. Jego głowa była skierowana w dół, na wyświetlacz, po którym zgrabnie przejeżdżał

długimi palcami. Jasność ekranu sprawiała, że jego twarz w ciemności lekko się podświetliła, ale nadal nie mogłam w pełni go zobaczyć, ponieważ był za daleko i stał bokiem. Wyglądał na dziwnie zdenerwowanego.

— Na pewno pójdziesz z nami? — zapytał w końcu Cameron, opuszczając ręce wzdłuż ciała. Podszedł bliżej mnie, przypatrując się mojej twarzy. — Wyglądasz, jakby jedno dmuchnięcie mogło zmieść cię z powierzchni ziemi.

I chyba był to najbardziej trafny opis tego, jak się wtedy czułam.

Wysiliłam się na cichy, gardłowy śmiech.

— Jestem na takiej ilości przeciwbólowych, że trochę nie kontaktuję. Jak będę upadać, to mnie złapiesz? — zapytałam, zawadiacko biorąc się pod boki. Boże, to było takie trudne.

Cameron odpowiedział mi swoim najpiękniejszym uśmiechem.

— Oczywiście.

— Kochanie, kiedy cię tak złapało? — wtrącił się Chris, również do mnie podchodząc. — W niedzielę było jeszcze dobrze.

— Wieczorem już było średnio, a w poniedziałek tragedia. — Przy najmniej w tym nie kłamałam. Cały czas patrzyłam mu w oczy, bez zawahania wypowiadając kolejne kłamstwa z uspokajającym uśmiechem na ustach, który był tak zadziwiająco prawdziwy, że zmylił nawet Chrisa. — Ale jest już lepiej. Musiałam wyrwać się z domu. Ciągłe tylko spałam. Muszę rozprostować kości.

Po minach naszych znajomych poznałam, że uwierzyli, ale niby czemu mieliby tego nie zrobić? Przecież było dobrze, a ja odetchnęłam z ulgą.

Starałam się skupić na czymś innym, by nie myśleć o tym, jak paskudnie się czuję. Zaczęłam się przyglądać Chrisowi i może tylko mi się wydawało, ale wyglądał, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od Camerona. Camerona, który zaczepnie się uśmiechał, zjeżdżając wzrokiem jego ciało okryte liliowym garniturem. Adams usilnie to ignorował, unosząc hardo głowę, choć jego szyję pokrył rumieniec, co, jak zdążyłam się zorientować, niezwykle ucieszyło Theo.

Pieprzony zakład — przemknęło mi przez głowę niewyraźne wspomnienie.

— Czyli możemy iść? — zapytał Parker, patrząc na Scotta. — Ten cały Sanchez jest w środku?

— Tak, mój kolega potwierdził — odparł Hayes. — Wyjdzie po nas, żebyśmy nie musieli stać w kolejce — dodał, a następnie popatrzył sceptycznie na Sheya. — Nate?

Wszyscy, w tym ja, spojrzeliśmy na Nathaniela, który nadal stał w tym samym miejscu, z coraz większą złością pisząc coś na swoim telefonie. Zmarszczyłam brwi, bo nie wydawało się, by słuchał. Z rozdrażnieniem zablokował urządzenie i w pewnym momencie odniosłam wrażenie, że zaraz zmiażdży je w dłoń. Na szczęście oszczędził komórkę i w końcu uniósł głowę, po czym spojrzął kolejno na nas. Zobaczyłam go nieco wyraźniej, chociaż ciemność nadal częściowo skrywała jego idealną twarz. Jednak z mrokiem było mu lepiej. Pasował do niego.

Wyglądał porażająco i przerażająco, dokładnie tak jak przy naszych pierwszych spotkaniach lata wcześniej. Gołym okiem było widać, że nie jest ani trochę w humorze. Bez cienia emocji schował urządzenie w przedniej kieszeni czarnych spodni. Kątem oka zlustrowałam jego sylwetkę. Miał na sobie jeszcze czarny, oversize'owy polar z kołnierzem i krótkim suwakiem, który pozostawił rozpięty. Wystawała spod niego biała koszulka, która pasowała do jego butów w tym samym kolorze. Wyglądał dobrze. Cholernie dobrze i odnotował to nawet mój zjechany przez leki mózg.

Nathaniel przejechał dłonią po swoich zmierzwiionych włosach i poprawił srebrny krzyżyk zawieszony na szyi. Dostrzegłam sygnet na jego palcu serdecznym. Wciąż go nosił, zupełnie tak jak przed laty. Skrzyżował spojrzenie ze Scottem, prostując się i unosząc głowę. W tamtym momencie wyglądał jeszcze potężniej. *Cholera*.

— Rozpoznasz go? — zapytał Hayesa, choć brzmiało to raczej jak warknięcie.

Jego głos był cierpki, zachrypnięty i naprawdę nieprzyjemny. Nie miałam pojęcia, co było przyczyną jego złego humoru, ale jeśli nadal był tak porywczy jak dawniej, to lepiej było, aby nikt nie podchodził do niego na odległość pięciu jardów. Kiedyś w takich chwilach można było stracić zęby.

*I głowę.*

— Vin nam pokaże — odpowiedział Scott, mocniej obejmując Laurę.

Shey nic już nie powiedział, jedynie przekręcił się lekko i to była sekunda. Dosłownie jedna sekunda, gdy jego wzrok padł na moją twarz,

a ja nie zdążyłam odwrócić głowy, więc nasze spojrzenia się spotkały. Wtedy to poczułam. Nienawidziłam tego za każdym razem, kiedy to się działo. Tego dziwnego dreszczu, który przebiegał wzdłuż mojego kręgosłupa jak najgorsza zaraza. Jakbym tę reakcję miała zapisaną we krwi. Nie znośliłam patrzeć w te czarne tęczęwki, które były tak... tak intensywne. Powinnam była od razu się odwrócić, od razu to skończyć, ale właśnie wtedy, gdy jego spojrzenie spoczęło na mojej twarzy, zauważyłam, że jego brew drgnęła, a coś w wyrazie twarzy dziwnie się załamało. Nie potrafiłam tego bliżej określić, więc jak najszybciej się odwróciłam, starając się zachować obojętną minę. To nie był dzień, kiedy mogłam pozwolić sobie na coś takiego. Nie, gdy byłam *w tym* stanie.

— Okej, to idziemy — zdecydował niczego nieświadomy Matt i ruszył w stronę dużego budynku.

Wciąż czułam to palące spojrzenie czarnych oczu. Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło, i zaczął mnie tym irytować. Tak, może nie wyglądałam wybitnie, a moja twarz wyrażała zmęczenie, co i tak nawet w jednej setnej nie oddawało mojego obecnego stanu, ale nie musiał się na mnie tak gapić. Chyba mina mnie zdradziła, bo w końcu sobie odpuścił i zaczął iść w stronę baru, zachowując możliwie największą odległość ode mnie. W sumie się nie zdziwiłam, po tym, co ostatnio między nami zaszło, sama miałam ochotę nie zbliżać się do niego na odległość mili. Kiedyś był chamem, nie liczył się z niczymi uczuciami, a na końcu to i tak przed nim trzeba było się płaszczyć. Czyżby do tego wrócił?

Czyli bez zmian od czterech lat.

Nadal nie wiedziałam, co się stało między nami w tamtą sobotę w barze u Parkera. Owszem, byłam wściekła, bo on zachowywał się tak jak dawniej, w początkach naszej znajomości. Był taki irytujący z tą swoją nonszalancją, z tym całym byciem oschłym sukinsynem... ale to nie powinno było doprowadzić mnie do takiego stanu! Zostawił mnie samą, a potem miał pretensje, że się postawiłam. Momentami tak cholernie go nienawidziłam... ale kiedy znalazłam się tak blisko niego, wdychając ten znajomy, a jednak inny zapach, czując jego ciepło, czując jego oddech na swojej twarzy...

*Boże, ja zwariowałam. Te leki wyżarły mi mózg.*

Nathaniel był sukinsynem. I może czasami za nim tęskniłam, ale w gruncie rzeczy to dobrze, że nie miałam z nim już kontaktu. Nie

wytrzymałabym, sama myśl o nim była tak denerwująca! Jak on cały! Miałam ochotę złapać go za te jego śliczne brązowe włoski i sprawić, aby nie były już takie śliczne. Miał pierdoloną narzeczoną, którą powinien był się zająć, zamiast gapić się na mnie.

— Hej, Vic! Poczekaj na nas!

Zdezorientowana pomrukałam powiekami i zatrzymałam się w miejscu, słysząc głos Laury.

Dopiero gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że stara się mnie dogonić, razem ze Scottem, Mattem i Theo. Reszta szła rozproszona po całym parkingu. Zdałam sobie sprawę z tego, że wyprzedziłam ich o dobrych kilkadziesiąt kroków. Ze zdziwieniem zerknęłam na Sheya, który niewzruszony maszerował kilka jardów przed nami, a następnie znów na Laurę, która w końcu znalazła się obok mnie.

— Jezu Chryste, jeszcze chwilę wcześniej ledwo trzymałaś się na nogach, a teraz uprawiasz sprint? — zapytał zdziwiony Scott. — Co ty za leki bierzesz?

Lekko zszokowana stwierdziłam, że z niewiadomych powodów poczułam nagły zastrzyk energii. Jakby ktoś zdjął ogromny głaz z mojej klatki piersiowej. Kolejne kroki nie sprawiały mi już bólu, a mój przyspieszony oddech nie był oznaką zbliżającego się ataku. Wręcz przeciwnie, dziwnej euforii. Theo posłał mi pytające spojrzenie, ale pokręciłam głową, ponieważ nie czułam się źle. Byłam skołowana, a wyjaśnienie było jedno.

Naprawdę wariowałam.

Po chwili już bez ekscesów szłam z nimi ramię w ramię. Nagle Theo zmarszczył brwi, wskazując na idącego przed nami w dużej odległości Nathaniela. Nawet z dystansu widzieliśmy, że jego mocno napięte mięśnie niemal rozrywały ładny polar w stylu vintage. Jego ciężki chód miał w sobie coś mrocznego i niezbyt przyjaznego. Znów poczułam w sobie gniew. *Sukinsyn.*

— A temu co? — zapytał cicho mój brat, choć nie było szans, by Shey go usłyszał.

Laura krótko parsknęła, kręcąc głową.

— Kłopoty w raju — odparła niezbyt przejęta.

Zmarszczyłam brwi ze zdziwieniem. Kłopoty w raju?

*Severine. Och.*



Wtedy zrozumiałam — jego złość była zapewne wynikiem tego, że się pokłócili. To dlatego patrzył z nienawiścią na ten telefon i wyglądał jak tykająca bomba.

*No cóż, to nie moja bajka i nie moje kłopoty z księżniczką.*

*Przestań być suką.*

W końcu podeszliśmy do ochroniarzy przy wejściu, a Scott zadzwonił do kolegi, który szybko po nas przyszedł. Dzięki niemu weszliśmy bez kolejki, ignorując protesty czekających.

W środku było pełno migających świateł, dymu papierosowego i ludzi. *Tak dużo ludzi.* Zapach potu i alkoholu lekko mnie dusił, a głośnie muzyka drażniła nerwy. Znów poczułam się tak, jakby ktoś mnie przejechał. Nagły zastrzyk energii przypłaciłam takim zjazdem, że musiałam podtrzymać się kolumny obok, aby nie upaść. Zwróciło to uwagę Matta, który spojrzał na mnie zmartwiony.

— Wszystko gra? — zapytał głośno, aby przekrzyczeć muzykę.

Pokiwałam głową.

Kolega Scotta skierował nas do łoża, która była do naszej dyspozycji. Znajdowała się w niej długa, obita czerwoną skórą kanapa w kształcie litery „L” stojąca przy prostokątnym stole. Mieliśmy stamtąd idealny widok na parkiet, gdzie bawili się ludzie, dla których weekend rozpoczął się już w czwartek. Theo pomógł mi zdjąć płaszcz, a ja z ulgą usiadłam, ponieważ moje kolana i dłonie zaczęły nerwowo drżeć. Tak bardzo chciałam do domu.

Mia z gracją zajęła miejsce obok mnie, uśmiechając się w moją stronę, na co odpowiedziałam jej mizernym uniesieniem kącików ust, a następnie skupiłam wzrok na jednym z pierścionków na swoim palcu. Była to srebrna obrączka, która należała do Roberts i która uratowała mi życie w poprzednią sobotę. Od tamtego zdarzenia wciąż ją nosiłam. Spojrzenie dziewczyny również powędrowało ku moim palcom i mogłam przysiąc, że na jej twarzy pojawił się maleńki łobuzerski uśmieszek.

— Dobra — powiedział Luke, zwracając na siebie uwagę wszystkich w łożu. Na kanapie prócz mnie i Mii siedziała Laura, która objęła Roberts ramionami od tyłu. — My idziemy rozejrzeć się za Sanchezem w tamtej części — mruknął, patrząc w prawo i wskazując na siebie, Theo oraz niezainteresowanego Sheya, który z zamyśloną miną stał przy wejściu do łoża. — Matt i Scott pójdą tam, a Jasmine, Chris i Cameron w tamtą

stronę — mówiąc to, pokazywał kierunki, w których mieli się udać. — A wy na razie poczekajcie tu — dodał, zwracając się do mnie, Laury i Mii.

Nawet nie miałam siły protestować.

Zostałyśmy same, bo reszta poszła jeszcze do baru, by kolega Scotta opisał im dokładniej, jak wygląda nasza... ofiara.

— Mam nadzieję, że to wszystko wypali, a Nate nie zrobi niczego głupiego — zaczęła Moore, przytulając się do boku Mii. — Jest dziś taki zdenerwowany.

— Jest taki od kilku dni — odrzekła Roberts. — Właściwie od naszego ostatniego spotkania w barze Luke'a. Denerwuje się o byle głupotę i na każdego warczy. To zaczyna się robić nie do wytrzymania.

Starałam się ich nie słuchać i skupić się na uspokojeniu oddechu i ignorowaniu bólu w klatce piersiowej.

— Może ma gorsze dni — zamyśliła się Laura. — Wiesz, o co pokłócił się z Severine?

— Nie wiem — odpowiedziała, ale w jej głosie wyczułam rezerwę, jakby nie chciała powiedzieć za dużo. Mimo to brzmiała, jakby mówiła szczerze.

Czułam, że mój kolejny atak jest coraz bliżej. Było źle, bardzo źle.

— Vic? Gdzie idziesz? — Jak zza szyby dotarł do mnie przytłumiony głos Laury.

Obie patrzyły na mnie, nic nie rozumiejąc, gdy bezwiednie podniosłam się z kanapy i skierowałam się w stronę wyjścia z łóży. Moje nogi były jak z waty i resztkami sił powstrzymywałam się przed upadkiem. Było mi tak duszno i słabo, jakby ktoś zamknął mnie w samochodzie w niewyobrażalnym upale. Wszystko, czego dotyczyły moje dłonie, parzyło.

— Idę do baru po wodę — mruknęłam pierwsze, co przyszło mi na myśl. Nie spojrzałam na dziewczyny, bo nie wiedziałam, czy jestem w stanie dalej utrzymywać swoją maskę obojętności.

— Pójdziemy z tobą — zaproponowała delikatnie Moore, ale natychmiast pokręciłam głową.

Włosy opadły mi na twarz, a kilka poczułam na swoich spierzchniętych wargach.

— Pójdę sama. Zostańcie tu w razie czego — uciełam, schodząc po dwóch schodkach.

— Ale Vic... — zaczęła któraś za mną. Nie wiedziałam która.

Weszłam w tłum spoconych i rozgrzanych ciał. Nie rejestrowałam nawet, w którą stronę zmierzam, chciałam się stamtąd wydostać, wyjść na zewnątrz. Obraz zaczął mi się zamazywać, światła zlewały się w jedną plamę. Ludzie uśmiechali się do mnie, tańcząc i wrzeszcząc, gdy mijałam ich na drżących nogach. Załkałam cicho, jednak z moich oczu nie wydostała się ani jedna łza.

To było to, jedna z najgorszych możliwych chwil. Ta sekunda, która dzieli człowieka od płaczu, gdy jeszcze z tym walczy. Poczułam ten ucisk w klatce piersiowej, kiedy nie ma się już siły, miałam świadomość, że zaraz nastąpi wybuch. Bo tak naprawdę wybuch nie jest najgorszy. Najgorsza jest zawsze ta jedna poprzedzająca go sekunda. Sekunda, gdy każdy fragment ciała i umysłu boli tak bardzo, jak nie bolał jeszcze nigdy wcześniej i nie zaboli nigdy później.

W końcu udało mi się wyjść z tłumu. Znalazłam się przed długim, podświetlonym na niebiesko barem, głośno dysząc i próbując złapać chociaż odrobinę powietrza. Słaniając się na nogach, oparłam się o blat łokciami, przełknęłam żółć w gardle i podtrzymałam się, aby nie upaść. Młody barman podszedł do mnie zgrabnym krokiem, ale kiedy zobaczył moją twarz, otworzył szerzej oczy.

— Wszystko okej? — zapytał, przekrzykując głośną muzykę. — Potrzebujesz pomocy?

— Wody — niemal wycharczałam i z bólem zacisnęłam szczękę. — Potrzebuję wody.

Chłopak, który był chyba trochę młodszy ode mnie, energicznie pokiwał głową, chwycił szklankę i napełnił mineralną. Bez słów podał mi ją, a ja wypijałam wodę niemal jednym haustem, czując się tak, jakbym piła najdroższe wino świata. Palenie w moim gardle nieco się zmniejszyło. Kiedy skończyłam, znowu podsunęłam szklankę w jego stronę. Bez słowa napełnił ją drugi raz, a ja znów wypijałam do dna.

— Na pewno nie potrzebujesz pomocy? — zapytał przejęty. — Jesteś tu z kimś? Przepraszam, ale naprawdę źle wyglądasz i chyba ledwo trzymasz się na nogach.

— Jest okej, zaraz mi przejdzie — zapewniłam, choć wcale nie byłam przekonana.

Barman pokiwał głową i wrócił do swojej pracy, czułam jednak, że co jakiś czas mi się przygląda. Niepokój, który dopadł mnie chwilę

wcześniej, nieco zelżał, ale wciąż trzęsły mi się nogi. Tak jak radziła Sylvia, starałam się skupić na oddechu, co głównie dało, ale było lepsze niż nic. Starłam wierzchem dłoni kilka kropel potu z czoła. Choć niemal się gotowałam, jednocześnie było mi tak zimno, że miałam gęsią skórę.

Gdybym była wierząca, właśnie modliłabym się o łaskę dla swojej duszy.

— Wyglądasz jak śmierć.

Miałam ochotę zakląć pod nosem i tylko cudem się powstrzymałam. Zacisnęłam dłonie na pustej szklance po wodzie, aby ukryć ich drżenie. Staralam się ignorować jego upierdliwy wzrok, ukrywając twarz za zasłoną włosów. Chyba próbowałam uaktywnić w sobie zdolności telekinetyczne, bo ze wszystkich sił chciałam, by zniknął. Niestety mi nie wyszło, wciąż czułam jego obecność. Przygryzłam policzek niemal do krwi, licząc te pieprzone oddechy.

Nie mogłam się złamać. Nie tam i nie przy nim.

Zaciskając szczękę, cicho odetchnęłam. Zmusiłam się, by moja twarz przybrała beznamiętny wyraz, i odchyliłam głowę. Znów wcisnęłam przełącznik, bo nikt nie mógł wiedzieć, że sobie nie radzę. Ta myśl spowodowała, że wylała się ze mnie obojętność.

— Mógłbyś zaszczyścić swoim towarzystwem kogoś innego? Byłoby mi miło — dociełam mu oschłym tonem i spojrzałam na niego z nieukrywany rozdrażnieniem.

Shey stał w odległości jakichś dziesięciu stóp ode mnie, tak jak ja opierając się łokciami o blat, odwrócony w moją stronę. Nie miałam siły na kolejne słowne przepychanki, po prostu patrzyłam na niego, jakby był jakimś punktem na niebie, który mało mnie obchodził.

— Nie miałeś kogoś szukać? — zapytałam. — Może zajmiesz się swoim zadaniem i zostawisz mnie w spokoju?

— Poradzą sobie przez chwilę beze mnie. — Wzruszył ramionami, a następnie zawołał barmana, który moment wcześniej nalewał mi wody.

Chłopak szybko do nas podszedł, znów posyłając mi zmartwione spojrzenie. Zachowałam kamienną twarz, kiedy skinęłam głową, aby dać mu znać, że nic mi nie jest. *Bo nie było, wszystko było dobrze. Musiało być.* I chociaż chwilę wcześniej sekundy dzieliły mnie od załamania, nie mogłam pozwolić, aby to zdarzyło się przy Sheyu. Nawet gdyby łyż zaczęły wypalać mi oczodoły.

Nathaniel zerknął obojętnie na barmana.

— Dwa razy wódka z red bullem — rzucił, a następnie spojrzał na pustą szklankę w mojej dłoni. — I cała butelka mineralnej.

Przewróciłam oczami, ale nie skomentowałam. Barman wyciągnął butelkę wody spod lady i postawił ją obok mojej szklanki. Zaczął przygotowywać drinki dla Sheya, a ja nalałam wody do szklanki. Wypiłam do połowy.

Między nami zapanowała nieprzyjemna cisza. Wyobrażałam sobie, że go tam nie ma. Po chwili dwa wysokie kieliszki wypełnione żółtawym trunkiem stały tuż przed chłopakiem. Od razu sięgnął po jeden.

— To najgorsze, co można zafundować swojej wątrobie i sercu — mruknęłam, nim zdążyłam się powstrzymać.

Shey spojrzał na mnie bez emocji.

— Ale za to jakie smaczne — odparł nonszalancko, po czym szybkim ruchem uniósł kieliszek do ust i przechylił. Nawet się nie skrzywił, kiedy odstawiał go z powrotem na blat.

Pokręciłam głową na ten popis, nie komentując. Nienawidziłam tego drinka, chociaż były dni, gdy piłam go codziennie. Zacisnęłam szczękę, aby odpędzić od siebie te myśli. Ostatnie, czego wtedy potrzebowałam, to powrót przeklętych wspomnień. Ponownie upiłam łyk wody, mając nadzieję, że Nathaniel wyzeruje drugi kieliszek i sobie pójdzie, ale przecież ja nigdy nie mogłam mieć tego, na co liczyłam.

— Byłaś chora? — zapytał nagle, ot tak, jakby pytał o pogodę.

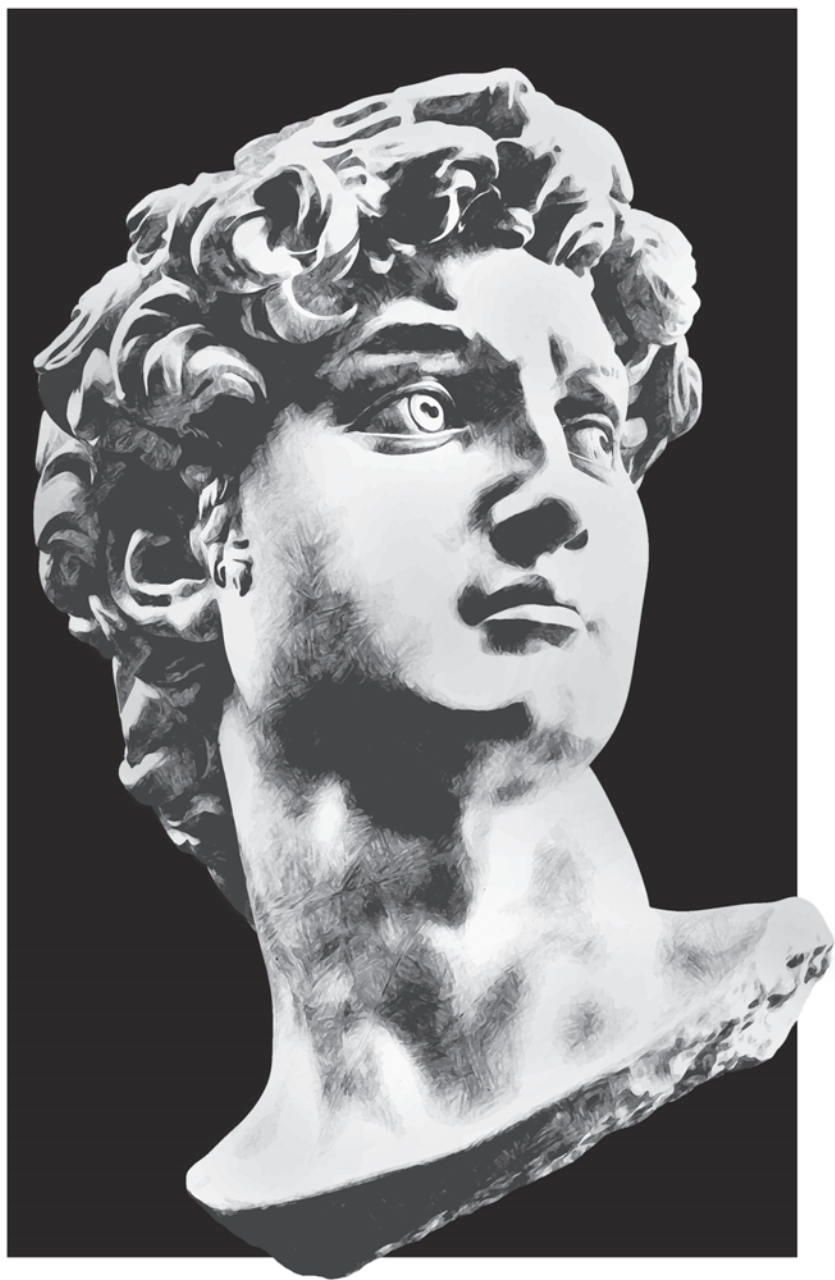
Po jego słowach znieruchomiałam, a następnie lekko się spięłam, mocniej zaciskając dłonie na ściankach szklanki. Udało mi się utrzymać taki sam wyraz twarzy, gdy chłopak patrzył na mnie kątem oka. Ignorując palenie w przelyku, skinęłam głową.

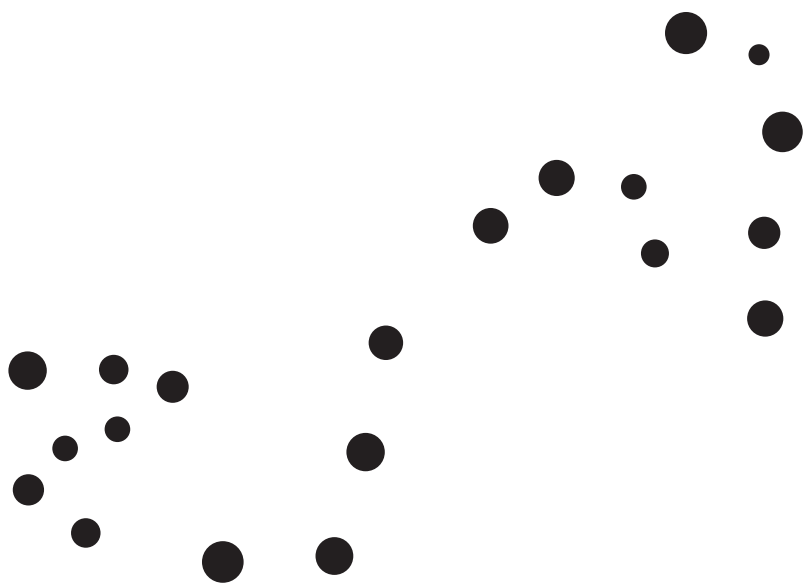
— Skąd wiesz? Wydawało mi się, że niezbyt skupiałeś się na naszej rozmowie przed wejściem — mruknęłam, również grając niezainteresowaną.

— Luke coś wcześniej wspominał — odrzekł, a jego zachrypnięty głos był tak bezbarwny jak woda, którą piłam. Nie zdradzał niczego.

Ale czy to mogło mnie dziwić?

— Tak, byłam — odpowiedziałam w końcu. — Albo jakiś paskudny wirus, albo zatrucie pokarmowe — skłamałam bez zająknięcia. — Okropna sprawa.









# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
  2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
  3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

Wiele razy  
Cię o coś prosiłam,  
ale to będzie  
ten ostatni raz.  
Ostatnia prośba  
przed naszą  
zagładą.